

NIE SKACZE SIĘ W KAPCIACH

BRUNO
KADYNA



Ilustracja: Bruno Kadyna

Strona autora: brunokadyna.pl

Adres: bruno.kadyna@wp.pl

Kwiecień 2020

Noc przez łyż jest nieciekawa nawet na dachu.

Skacz! Po to tu przyszedłeś – myślę.

– To najlepsze wyjście.

Gadam do siebie, jakbym musiał się w tym utwierdzić, a to przecież oczywiste.

Na co czekasz?

To trudniejsze niż myślałem.

Może po prostu jestem tchórzem?

Siadam. Muszę być pewien.

Zaraz przestaniesz myśleć.

Wszystko to i tak przestanie istnieć. Jakie znaczenie ma więc całe rozmyślanie i układanie w głowie?

Najważniejsze, żeby chłopcy już tego nie przeżywali.

Szybko przeboleją stratę, szczególnie, że i tak prawie nie ma mnie w domu. Inaczej dawno bym ją zabił.

Albo siebie.

I tak sobie siedzę. Czas się zbierać i nie rozwlekać. Już nie myśleć o niczym, już nie trzeba. Inaczej coś spróbuje mnie powstrzymać.

Wstaję, po prostu to zrobię. Podchodzę do skraju dachu.

– Co tu robisz, mordo?

Słyszę za sobą słowa i się odwracam. To koleżka.

Robi mi się wstyd jak jeszcze nigdy w życiu, aż w pierwszej chwili mam ochotę się zerwać, żeby skoczyć i uniknąć jego spojrzenia. Ale pojawia się pytanie.

Co on tutaj robi? – Nigdy nie przyjeżdżał bez zapowiedzi.

– Iza powiedziała, że wyszedłeś. Nie zasłoniłeś wejścia na dach – mówi.

Nie gadałem z nim dzisiaj.

Wyłania się z dziury, widzę sylwetkę od pasa w górę.

Ten sam wstyd nie pozwala mi się teraz ruszyć.

– Przychodzę się tu przewietrzyć – kłamię.

Spojrzenie Krystiana mówi, że pierwsze słyszy. Nie wyłazi z dziury, siada na krawędzi włazu.

– To może miasto, jakiś patrol? – pyta.

Robię ku niemu dwa kroki, ale się zatrzymuję. Nie chcę iść. Nie mogę też teraz skoczyć, ani nawet pokazać, że chcę to zrobić.

Chce mnie stąd ściągnąć.

Znowu muszę grać, że wszystko dobrze. Zmuszać gębę do uśmiechu.

Przecież oczy masz czerwone od płaczu, wszystko widać.

– Może nie dzisiaj, stary. Nie chcę teraz wchodzić do domu, żeby się ubierać. Dopiero stamtąd spieprzyłem – mówię.

– To dawaj tak, jak jesteś, nie będziemy wysiadać.

Podjeżdżę, że chcę skoczyć. Widać to po nim.

– Nie dzisiaj, stary. To taka chwila, w której chłop musi zostać sam – mówię.

Patrzy na mnie jak na idiotę.

– Co ty wygadujesz za głupoty? Właśnie w takich chwilach chłop nie może być sam.

Dawaj, o jakiś McDonald's zahaczmy.

Kurde, idź stąd!

Nie sądziłem, że wkurzy mnie jego gadanie.

– Nie, stary, nie dziś. Chcę zostać sam. – Marszczę mordę.

– Pieprzysz jak potłuczony. Dawaj, nie ma czasu.

Racja, nie ma.

Nie ruszam się.

– To ja wchodzę do ciebie. Ale jedziemy zaraz i koniec – mówi.

I włązi. Podchodzi do mnie.

Szlag!

– Co chciałeś odwalić, gamoniu? – pyta i wpatruje się we mnie.

Denerwuje mnie to.

– Nic – kłamię.

Widzę, co mu chodzi po głowie. Stanął blisko, żeby mnie w razie czego złapać za ramię.

Nawet się cieszę, że zauważył, że nie żartuję.

Przecież przy nim nie skoczę.

Miałby przesrane do końca życia, nawet, jeśli o nic by go nie oskarżyli. Nie zapomniaby tej chwili, niczego dobrego by nie stworzyła.

Dość narobiłem syfu.

– Dawaj, siadamy tutaj. – Pokazuję miejsce przy kominie.

Mamy widok na ogrody sąsiadów i las.

– Co chciałeś zrobić? – pyta.

Kurde, musisz?

– Nic, odetchnąć, przychodzę tu czasem.

– Weź skończ. Wiedziałbym, gdybyś tu przychodził. Na bank choć raz byś stąd do mnie zadzwonił.

– Jaka dedukcja. Nie złożyło się po prostu, pałko. Nie przychodzę tu często – mówię.

– Zobacz, nie mam przy sobie telefonu.

To było przekonujące.

– Bo ci niepotrzebny. I buty też.

Spoglądamy na moje gołe stopy.

– Lubię chodzić boso – mówię.

– Po papie i smole?

Wie, że od początku pieprzę głupoty.

Dość, pajacu. Przecież zrozumie.

– Jak skakać w kapciach? – pytam już normalnym tonem. – Za dzieciaka marzyłem, że latam jak superman, nurkuję i odbijam tuż nad ziemią. A teraz miałbym przeżyć coś takiego ostatni raz przed śmiercią, w kapciach?

Ani trochę to nie było zabawne.

– I twoje chłopaki cię znajdą z rozpieprzoną czaszką, mózgiem na wierzchu i rozerwanym bebechem.

– Lepiej tak niż wiszącego. Właśnie przypomniałem sobie o złotym strzale. Robi się słodko w ustach i odjazd. I będę w jednym kawałku.

– I sra i szcza się w gacie jak w przypadku każdej innej śmierci, nie zapominaj o tym. Skąd wiesz, że słodko?

– Nie wiem, gdzieś słyszałem. Ale ten sposób wygrywa. Zrobię sobie wcześniej lewatywę.

– Weź się lepiej zamknij, bo cię obrzygam.

Zamykam się.

Kretyńskie gadanie – przyznaję.

Milczymy chwilę, potem Krystian pyta:

– Zabijesz się z powodu baby?

O, matko. Po co męczysz?

– Mam dość, stary – mówię. – Nie mogę znieść cierpienia chłopaków. Wpłynie na całe ich życie.

– Ile oni mają lat? Nigdy nie pamiętam.

– Trzy i pięć. To, co się dzieje między mną a Izą, rozdziera im serca. I przez to mnie.

– Myślisz, że aż tak to na nich wpływa?

– Szczególnie, kiedy drzemy na siebie mordy, a oni stoją tacy mali, trzymają się za rączki albo przytulają i nic nie rozumieją, za to przeżywają gigantyczny stres.

Czuję, jak łzy napływają mi do oczu. Walczę z tym.

– Myślisz, że to jej wina?

– To moja wina. Nie potrafię nad tym zapanować.

– Nie tylko ty powinienes nad tym panować.

– To moja rola, by znaleźć sposób. Kiedy jest afera, mówię sobie, żeby nie odpowiadać, podkulić ogon i dać po sobie jechać do czasu, aż wymyślę, jak wszystko naprawić.

– Najważniejsze to zachować spokój – mówi Krystian.

Głos mi drży, nie chcę się rozklejać. Chrząkam i mówię niższym tonem.

– Potrafię się do tego zmusić tylko do pewnego stopnia. Ale kiedy ona podnosi głos i dolewa jadu, w końcu toksyna zaczyna działać.

– Kobiety jak nikt, potrafią świadomie dokręcać śrubkę – mówi Krystian. – Nie wiem, co ja bym zrobił, pewnie też uciekał.

Cieszę się, że mnie rozumie.

– Zanim ucieknę albo wybuchnę, proszę, żebyśmy się nie kłócili przy chłopcach. Gdyby ona choć raz poprosiła, nawet przez zęby, poszedłbym na to natychmiast.

– Ciężko się nie odezwać, kiedy baby dokładają do pieca.

– Gdybym umiał panować nad swoim niewyparzonym ryjem, pewnie i ona nad swoim by zapanowała.

– Nie wiadomo.

– Jak zniknę, skończą się problemy. Chłopaki są w takim wieku, że nawet nie będą mnie pamiętać.

– Myślisz, że będzie im lepiej? Wiesz, co ona będzie o tobie mówić?

Postawi mnie w gównianym świetle i o wszystko obwini.

– Wymyśli jakąś historię i będzie ją powtarzać, aż uwierzą, że jest prawdziwa – mówię.

– No właśnie – potwierdza kolega.

– Mam to w dupie.

– Nie możesz wyjechać popracować za granicą? Jakaś Norwegia, Niemcy? – pyta Krystian.

– Myślałem o tym, ale męczyłbym się strasznie, tęsknota by mnie dobiła.

– Na początku, potem byś przywykł. Lepiej tak, niż Bartka i Artura pozbawić starego na zawsze.

– Żadna strata.

– Słabo żyć ze świadomością, że ojciec się zabił. Pewnie byłoby im wstyd. Bo kto się zabija? Tylko świr. Przecież Iza nie przyzna, że się do tego przyczyniła. Nawet sama przed sobą. Przypisze ci coś albo wymyśli chorobę psychiczną i na nią wszystko zwali.

– Dokładnie.

– To może najpierw spróbujesz wyjechać? Zabić możesz się w każdej chwili i wszędzie. A tak, mógłbyś im pomagać, mieć nad nimi jakąś pieczę, być ojcem chociaż z daleka. Lepiej tak niż wcale. Albo po samobójstwie zyskać miano tchórza i wariata. Pamiętaj, show must go on, życie po tobie będzie toczyć się dalej.

To wszystko nieważne, o tym wszystkim już myślałem.

– To co? Chodźmy stąd – mówi.

– Jeszcze nie, źle ci tu?

– Przejażdżka lepsza.

Śmierć wciąż najlepsza.

Opieram głowę o komin. Przez chwilę nic nie mówimy, całe szczęście. Krystian patrzy na las. Cały czas jest skupiony, jakbym wciąż stał nad krawędzią.

To nieprawda, że nie pomyślałem o złotym strzale. Po prostu muszę to zrobić zniechęca. Najbardziej boję się, że w połowie drogi w dół zmienię zdanie. Podobno często się to zdarza.

Tylko skąd o tym wiadomo?

Lot w dół po złotym strzale trwa o wiele dłużej, a co za tym idzie również żal po zmianie zdania. Muszę więc to zrobić nagle, w największej pewności.

Bo życie jest jak fala.

Raz jest dobrze, a raz źle. To 'dobrze' nie jest na tyle dobre, żeby chcieć żyć, ale dobre na tyle, żeby nie móc się zabić. Więc musi to być odpowiedni moment.

Jak skoczę, to skulony, z zaciśniętymi powiekami czekając na uderzenie i koniec.

– Dawaj, mordo, jedziemy, szkoda czasu – mówi Krystian.

Na co?

Siedzę jak zamurowany. Nie mogę się ruszyć, nie mam siły, nawet odrobiny prądu.

– Gdzie cię tak ciśnie jechać? – pytam.

– Właśnie nie wiem. Po prostu muszę gdzieś pojechać.

– Nie chce mi się, stary, potwornie. Jedź sam, ja jeszcze chwilę posiedzę i wracam do domu. Nie pękaj, przecież nie skoczę. Wolę złoty strzał.

Krystian się nie śmieje.

Żaden taki żart dzisiaj nie wejdzie.

– Pojadę, jak zejdiesz do domu. Choć wolałbym jechać jak najszybciej.

– Gdzie pojedziesz? – pytam.

– Wsiądę do fury i ruszę po prostu. Czuję, że powinieneś jechać ze mną.

Co za natręt.

– Nie dasz mi posiedzieć samemu? – pytam.

– Nie.

– Czemu nie zadzwoniłeś, że jedziesz?

– I tak byś nie odebrał przecież.

Dotykam lewej kieszeni, gdzie zawsze trzymam telefon.

No tak.

– Może to nie przypadek, że zajechałeś? – żartuję.

– Jak byś siedział na kiblu, to nie byłoby nic nadzwyczajnego. Przecież tylko przyszedłeś się przewietrzyć podobno.

– No tak. Ale jeśli jednak miałem zamiar skoczyć na łeb, to dziwne, że akurat teraz się pojawiłeś.

– No dziwne – mówi. – Po prostu wyszedłem.

– I taką trasę sobie wymyśliłeś?

– Jak wsiadłem do samochodu, pomyślałem o tobie i dzida.

Krystian analizuje wszystko, co było wcześniej, że po prostu nabrał ogromnej ochoty, żeby wyjść z domu i wsiąść do auta.

– Naprawdę chciałeś się zabić? – pyta.

– Naprawdę. Ale już tego nie zrobię – kłamię.

– Teraz nie.

- Jutro, kurde. Co ty, Freud? Coś taki podejrzliwy?
 - Nie wiem. Wiem, że musimy zejść stąd razem i ruszyć w drogę – mówi wpatrzony w las, a raczej w czarną ścianę, którą przypomina.
 - Film złapałeś na jeżdżenie?
Wkręcił sobie ratowanie.
 - Sam nie wiem, dlaczego mam takie ciśnienie.
 - Jesteś po prostu porąbany – mówię.
 - Musimy szybko stąd zejść i jechać.
- Co mi tam. Odłożę skakanie, i tak nic z tego teraz.

Mam na sobie koszulkę, spodnie dresowe i laczki. Nie wchodziłem do domu, choć miałem odruch, żeby wejść i ucałować chłopców. Nie zdążyłem przed wyjściem na dach.

Zjechaliśmy całą Świętojańską. Wcześniej byliśmy na Polance Redłowskiej i na Bulwarze. Zatrzymaliśmy się pod starym Dworcem morskim. Krystian zamknął oczy i głęboko oddychał. Ładnie pachniało wodą morską, choć czasami z portu tak wali, że idzie zdechnąć.

O nic nie pytam, a Krystian nic nie mówi. Nie wie, gdzie jechać. Jedzie na czuja. Odwiedzamy lubiane kąty. W każdym Krystian kręci nosem, że to nie tutaj i szukamy dalej.

W końcu wyjechaliśmy z Gdyni. Jesteśmy w Pierwoszynie, skręcamy w boczną ulicę i dojeżdżamy do końca zabudowań. Jedziemy drogą przez łąny zbóż, pachną dziś przytłaczająco. Potem wjeżdżamy w nabrzeżny pas lasu. Jedziemy na urwisko na Mechelinkach. Dawno tu nie byłem, nawet się cieszę, ale na pewno jeszcze bardziej mnie zdołuje to miejsce. W taką pogodę nie jest wesoło.

- Myślisz, że to tutaj? – pytam.

Krystian nie odpowiada, uważa, żeby nie rozwalić zawieszenia.

Będzie mnie woził bez sensu i pajacował.

Wjeżdżamy na wielkie urwisko porośnięte trawą. Bardzo tu nierówno, toczymy się wolno wytartymi koleinami.

Niebo jest złe, wiatr wygina drzewa, ale najgroźniej wygląda morze.

Krystian odwraca moją uwagę od wody.

- Tam ktoś jest – mówi. – Właśnie o to chodzi, tu mieliśmy przyjechać.
- Skąd wiesz?
- Nie wiem, mam takie przeczucie.

Wytężam wzrok. Przed nami widać ciemny kształt. Terenowy samochód, tutaj częsty widok, nawet o tej porze.

- Zepsujemy komuś randkę – mówię.
- Możliwe. Ale musimy tam podjechać.
- Co ty?

Patrzę na niego podejrzanie. Wygląda, jakby nie był sobą.

Wkręca mnie. To pewnie Miraz i Marian.

Wali prosto na ten samochód. Duży stary Jeep Grand Cherokee. Nie poznaję auta, to żadnego z chłopaków. Chyba że nowy nabytek Mariana, on handluje samochodami.

Ustawił się z nimi, stąd ten pośpiech. – Zapominam, że miałem się zabić.

Zatrzymujemy się tuż przed terenówką i świecimy w boczne okna. Wszystkie przyciemnione, ale i tak widać zarys męskiej głowy obróconej w naszą stronę.

Nie przypomina żadnego z kumpli.

– Typ właśnie z kimś...

– Wsiadamy! – przerywa Krystian.

Nie wiem, co się dzieje, ale robię, co mówi. Wsiadamy jednocześnie, a mężczyzna w środku wpada w popłoch. Wypada z za samochodu, jest ubrany w szary dres.

Co jest?

Biegnie do lasu w czerń.

– Co to za chłop? – pytam.

– Nie mam pojęcia, ale o niego chodzi.

Z Jeepa dobiega dziecięcy głos.

– Słyszałeś?! – Startuję do auta, obiegam wkoło i już widzę, bo typ nie zamknął drzwi.

Matko...

Na tylnej kanapie leży dziewczynka, jakieś dziesięć lat. Zaciska oczy i płacze. Stara się nie robić hałasu. Ubrana jest w leginsy i za dużą bluzę. Ma skrępowane z tyłu ręce.

Samochód wygląda i pachnie normalnie.

Chyba nie zdążył nic zrobić!

Nie chcę nawet zakładać, co zamierzał. Jak by to skończył? Co z nią zrobił!

Czuję przypływ niewyobrażalnej wściekłości. Krystiana też bierze, zaciska pięści i pompuje. Chce pognać za typem.

– Dzwon na policję – mówię. – Masz jakiś koc w aucie? I nóż? Trzeba przeciąć trytkę.

– Tak. – Biegnie.

Patrzę na dziewczynkę, a miejsce złości zajmuje współczucie i gorycz.

Co ona musi czuć...

Chcę ją jak najszybciej uspokoić. Robię wszystko, żeby głos mi nie drżał.

– Dziewczynko, tamten człowiek uciekł, kiedy nas zobaczył. Pomożemy ci wrócić do mamy. Już ci uwalniam ręce, trzeba przeciąć ten pasek. Jak masz na imię?

Odpowiada dopiero, kiedy uwalniam jej ręce.

– Zuzia.

Wybucho płaczem.

Też płaczę i żałuję, że się tak na tym dachu grzebałem.